

Spotkanie z NINĄ ANDRYCZ

Pół wieku na scenie

Ostatni raz byłem u pani 22 lata temu. Jak z bicza strzelił. Śledziłem przecież z fotela recenzenta pani drogę teatralną w tym czasie. I muszę powiedzieć, gdy teraz rozglądam się po polskim teatrze i przywołuję w pamięci pani generację aktorską, rówieśne pani koleżanki i kolegów, nie mogę nie wyrazić pod pani adresem uczucia podziwu i szacunku dla niezmordowanej pracy i jej świetnych wyników.

— Dziękuję.

● Bo — nie da się tego i nie ma potrzeby ukrywać — że tylko co minęło pół wieku, jak stanęła pani na deskach scenicznych.

— Zgadza się.

● Przy takiej okazji wypowiada się zwykle porcję komplementów i ucukrowanych banałów, w pani jednak przypadku sprawa doprawdy wygląda niepospolicie. Oto widziałem panią wczoraj na scenie kameralnej Teatru Polskiego w tytułowej roli „Baby-Dziwo”. W pełnym impecie aktorskim. Oto patrzę teraz na panią, że tak powiem, prywatnie i widzę kobietę w świetnej formie. Fenomen!

— Niech pan to nazywa według własnego uznania.

● Przyjdzie więc się zgodzić z opinią: „Jeśli po 50 latach ciężkiej pracy można mieć głos jak dzwon, klarowną dykcję, sylwetkę młodej kobiety — to trzeba być Niną Andrycz”. „Wzór niedościgniony” powiedział Jarosław Iwaszkiewicz o wykreowanej przez panią postaci Solange w „Lecie z Nohant”. A to było w 1936 roku, gdy zmierzyla się pani jako młodziutka aktorka ze swoją pierwszą tak dużą rolą. I potem, przez lata, tyle się pisało o sile pani talentu i artystycznej indywidualności.

— Schopenhauer powiedział, że indywidualność człowieka określa z góry stopień możliwego dlań szczęścia. W myśl tego cytatu jestem istotą dość szczęśliwą. Z upływem czasu moje cechy indywidualne okazały się na tyle silne, iż umiałam spojrzeć dalej niż na swoje osobiste życie i tylko na zawodowe problemy. Bo czymże powinien być prawdziwy artysta? Więc w ideale winien być nosicielem światła, kimś kto umie widza wprowadzić w kulturę, pogłębiać jego wiedzę o człowieku i świecie. Zmusić go do myślenia. Aktor, prawdziwy artysta — nie może poprzestawać tylko na handlowaniu słowami. Chociaż, okazuje się, że ostatnio i to także jest sztuką. Wymaga na przykład bezbłędnej dykcji, a jakże teraz o nią trudno, zwłaszcza w telewizji.

● Doszliśmy więc do współczesnego teatru. Jak pani go widzi jako artystka o takiej sumie doświadczeń?

— Nie najlepiej. Po pierwsze martwi mnie opanowanie wielu scen przez osoby nieumiejętne i niekompetentne. Od dyrektora poczynając na statystach kończąc. Po drugie — zanik od pewnego czasu indywidualności reżyserów, co jest tym widoczniejsze, że powstaje mnóstwo spektakli. Stąd odczuwalne, także przez publiczność, roz-

panoszenie się amatorów — z niewspółmierną do możliwości ambicją przecierania rzekomo nowych dróg. Ci ludzie wszystko, czego nie umieją zrobić, nazywają z pogardą wartością „tradycyjną”. A swoje pretensjonalne popisy stroją w plórkę tak zwaną „awangardy”. Niektórzy recenzenci, o dziwo, biorą tę hochsztaplerkę na serio. Prawdziwych jednak artystów gnębi niepokój, że służą wartościom na opak wywróconym. Wszystko to dezorientuje i służy ogłupianiu publiczności. Czyż nie tu trzeba szukać w wielu teatrach przyczyny spadku frekwencji? Trzeźwiąc wreszcie bolączką jest według mnie, brak spójnych kryteriów artystycznych. Rozchwywanie czystych i elementarnych wartości. W

● Dobry rok!

— Więc po Reganie przyszła Violetta w „Kordianie” i dalej owa Solange w Iwaszkiewiczowskim „Lecie w Nohant”, która ugruntowała moją pozycję aktorską. George Sand grała Maria Przybyłko-Potocka, Chopina zaś Zbigniew Ziemiński. I potem sztuka szła za sztuką, „Cezar i człowiek” w reżyserii Aleksandra Węgierki, gdzie partnerował mi Junosza Stępski, księżna Joanna w „Nocy listopadowej”, Alexandrine w „Maskaradzie” Iwaszkiewiczowa i tak dalej. Zawsze obok wielkich aktorów sceny polskiej, nawet w sztukach nie największego lotu, że wspomnę „Koleżanki” Krzywoszewskiego. Tak to jednak jest — pozwól pan, iż zacytuję pana słowa z programu teatralnego — że nawet w zwietrzalnych tekstach osobowość aktorska może odkryć nieoczekiwane pokłady złota. Taka właśnie sytuacja

— i Diana z „Psa ogrodnika” wymykają się tym próbom dotywnego sasufladkowania, ale jednak dla publiczności była pani przede wszystkim, powiedzmy, Kleopatry ze sztuki Morstina. A tu, raptem, ta wołta sprzed niewiele lat. Dulską! W papilotach, w przydeptanych, jak to się mówi w Galicji, laczkach.

— Jest to sprawa, tak myślę, rozwijającej się świadomości artystycznej. Doświadczenia, które dało mi życie i ograniczeń, jakie też ono niesie. I tej palącej ciekawości, która musi przenikać ambitnego aktora. Po Szimienie z „Cyda”, po Kasandrze z „Orestes”, po owych wspaniałych Elżbietach Valois — musiał przyjąć czas płodoczmian. Więc zmierzyla się od razu z przeciwieństwami tamtych postaci. Z Dulską właśnie.

● To była rzeczywiście rewelacja.

— No, a później przyszła Kitty w „Profesji pani Warren”. Teraz zaś „Baba-Dziwo”. Grając tę archaiczną nieco dyktatorkę i tyrankę usiłowałam wydobyc z tej postaci jej kobiece kompleksy. Tragizm istoty ludzkiej, której pomimo siły charakteru i niewątpliwych uzdolnień nikt nie kocha.

● Przedstawienie, dodajmy, idzie kompletami. Ale już Bey pisał o takich jak pani aktorkach, że godne są tego, by Polskie Koleje Państwowe organizowały specjalne pociągi na ich spektakle. A pani popularność wzmogła jeszcze telewizja. I takie role jak, bagatela, Dama Kameliowa, Anna Karenina czy Pani Bovary. I cztery Srebrne Maski w pamiętnych plebiscytach „Expressu Wieczornego”. Więc pełnia, więc wszystko co można w pracy zawodowej osiągnąć!

— Powiedzmy, prawie wszystko.

● Czy na tym polu osiągnęła pani szczęście?

— Artysty w Polsce nigdy nie mieli specjalnie szczęśliwego życia. Przypomnijmy Schillera, Jaracza, Irenę Solską. Choćby te ich wieczne udręki z braku pieniędzy. Teraz zaś zderzenia z nazbyt arbitralnymi, a często niekompetentnymi opiekunami. Jedynie udana praca daje satysfakcję.

● A małżeństwo?

— Dwadzieścia jeden lat byłam zamężna. Jedyny raz w życiu. Wysłałam za socjalistę, bo sądziłam, że ten nie będzie miał za złe mojego przywiązania do teatru.

● Socjaliści, cykliści czy hydraulicy, wszyscy lubimy, jak kobieta w domu posiedzi i przygotuje kolację.

— To nie jest pan za emancypację kobiet?

● Jestem. Ale wolę jak odrzutowiec pasażerski, którym leczę, pilotuje męczyszyna. Pisze pani pamiętniki?

— Mam trochę notatek. Nie wiem jednak co z tego wyniknie. Póki co prezentuję oto panu nowy tomik mojej poezji: „Drugie spotkanie z diabłem” w wydaniu „Czytelnika”.

● Dziękuję za spotkanie. Moglibyśmy tę rozmowę długo jeszcze ciągnąć. Pozostawmy jednak przy kilku tylko wybranych kronikach z pani życia...

— Dziękuję.

Rozmawiał:
RYSZARD KOSIŃSKI



— łonie, samego teatru. Jego przecież, zadaniem jest zachwycając uczyć. Budzić w ludziach aspirację do lepszego i mądrzejszego życia. A tu na dobitkę istnieje jeszcze kasa i jej rygory. I przekonanie, że nic nie przynosi większego dochodu jak repertuar bulwarowy.

● Pani Nino, przebieg pani kariery nie upoważnia mnie jednak bym podejrzewał panią o popadanie w stan depresji?

— Skądże. Nie mam powodu narzekać. Mój debiut odbył się pod gwiazdą Szekspira. W „Królu Learze” obok Józefa Węgrzyna zagrałam rolę królowej Regany. W reżyserii wielkiego Leona Schillera. To był rok, powtórzmy, 1935.

● W tymże Teatrze Polskim przy ulicy Karasia w Warszawie.

Tak. Zaangażowałam się do Arnolda Szyfmana, można tak powiedzieć, nie na jeden sezon czy dwa, tylko na całe życie. Po studiach w PIST. Studiowałam równoległe z Elżbietą Barszczewską, Henrykiem Borowskim i Eugeniuszem Fuldem.

może dać spore satysfakcję wykonawcy, publiczności, a być może nawet i autorowi. Bo nie było w teatrze wypadku, żeby sala najbardziej zmęczona, najmocniej sceptyczna, w najbardziej dżdżysty wieczór listopadowy nie bila braw autorowi za słowa: „Daj nam wolność myślenia”. Taki tekst uniesie, pewien powodzenia, nawet pierwszy lepszy lektor. Dla myślącego aktora każda rola dramatyczna jest okazją do wypowiedzania siebie, autor bowiem stwarza abstrakcyjne postaci, żywy człowiek powstaje dopiero na spektaklu. Czasem właśnie, jak się powiedziało, pisarz da małe jeziorko, a aktor odnajdzie w nim nieprzezwyciężalne głębie.

● Pani! legenda aktorska jednak łączy się przede wszystkim z kreacjami heroicznymi postaci literatury i wielkich amantek. Wspomnę „Marię Stuart” Słowackiego, Lady Milford w „Intrydzie i miłości”. Świętą Joannę Shawa, Marynę Muiszech, czy Prusowską Izabellę z „Lalki”. Nawet mówiło się, że owo emplot — królowych, bohaterów romantycznych, wielkich dam — jest Andrycz przypisane do końca pracy. Wprawdzie, pamiętam, Abbie z „Pożądania w cieniu wi-